

The background of the cover features a central image of two hands clasped together. The hands are rendered in a soft, painterly style with warm, golden-yellow and pinkish tones. A rosary with dark beads and a cross hangs from the right hand. In the background, there is a faint, artistic depiction of a church with a tall steeple and a landscape with mountains under a bright sky.

Jolanta Kupiec

Wykna dziona
Z zakonu

Opowieść prawdziwa

Wykradziona z zakonu. Opowieść prawdziwa

© Jolanta Kupiec

© for the Polish edition by Wydawnictwo Hm...

All rights reserved

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody twórców.

Pod redakcją: D.B. Foryś

Redakcja: Jagoda Biszkont

Korekta: Aleksandra Szymaniak

Projekt okładki: E.Raj

Skład: Marcin Halski

Fotografie pochodzą ze zbiorów autorki.

ISBN: 978-83-68177-09-1

ISBN EBOOK: 978-83-68177-22-0

Wydanie pierwsze

Wojkowice 2024

Wydawnictwo Nie powiem

Email: redakcja@niepowiem.com.pl

Telefon: 518833244

Adres: ul. Sobieskiego 225/9, 42-580 Wojkowice

Druk i oprawa:

OSDW Azymut Sp. z o.o., Łódź, ul. Senatorska 31



Jolanta Kupiec

Wykradziona
Z zakonu

Opowieść prawdziwa

WOJKOWICE 2024

NIE

POWIEM

Dedykuję moim dzieciom, wnuczkom i wnukom

Kto nie ma odwagi do marzeń, nie będzie miał siły do walki.

Paul Michael Zulehner





WSTĘP

Niniejsza opowieść oparta jest na autentycznej historii, którą główni bohaterowie postanowili opowiedzieć po latach. Ze względu na możliwość rozpoznania ich tożsamości zmieniłam im imiona. Nie wymieniłam też nazw niektórych miejscowości czy miejsc, w których przebywali na poszczególnych etapach życia.

Słuchałam przez wiele tygodni kolejnych opowieści, snutych raz przez Annę, raz przez Mirka. Ujęła mnie naturalność ich narracji, ukazująca normalność i przyziemność opisywanych zdarzeń, chwilami jednak zaskakujących nagłymi, barwnymi zwrotami, oddającymi poczucie zagrożenia, a czasem znowu rozbawiających komizmem.

Doszłam w końcu do wniosku, że warto utrwalić koleje losów tych dwojga wówczas młodych osób i łączące ich niezwykle zdarzenia. Udało mi się ich przekonać do spisania tej relacji, a przywołane tym wspomnienia stały się dla nich pretekstem do refleksji nad przebytą życiową drogą. U mnie wywołały sporo

wzruszenia i zachęciły do podjęcia próby przeanalizowania egzystencjalnego aspektu życia.

Takie wydarzenia nie są z pewnością wyjątkiem wśród ludzkich losów, ale ich niezwykley przebieg wart jest utrwalenia w formie pisanej. W swoim sednie jest to bowiem historia romantyczna, nawet jak na standardy epoki, w której się wydarzyła. Gdyby miała miejsce w czasach średniowiecza lub romantyzmu, byłaby zapewne jeszcze bardziej kontrowersyjna. Zaczęła się jednak na początku lat 90. dwudziestego wieku, a jej epilog przypadł na pierwsze lata dwudziestego pierwszego wieku. Jeśli rozegrałaby się choćby sto lat wcześniej, mogłaby mieć o wiele bardziej dramatyczny przebieg i zakończenie. W tym przypadku, mimo wielu przeciwności i zaskakującego toku, wszystko potoczyło się pomyślnie i doprowadziło do pozytywnego finału, a z biegiem lat – do jeszcze bardziej radosnych następstw.

Niewątpliwie zadecydowało o tym silne uczucie dwojga młodych ludzi, jakby żywcem wyjęte z epoki romantyzmu, powstałe w mało sprzyjających warunkach, które w dużym stopniu utrudniały jego przetrwanie. Mogło pozostać zwykłym zauroczeniem, ciekawą życiową przygodą, ale okazało się silniejsze, a wytrwałość i determinacja stały się kluczowym warunkiem jego triumfu. Annie i Mirkowi nie zabrakło woli walki.

Zastanawiałam się podczas pisania nad przyczynowością tych wydarzeń.

Często mówi się o znaczeniu przypadku. Jedni w niego wierzą, inni go negują, uważając za prawdziwe

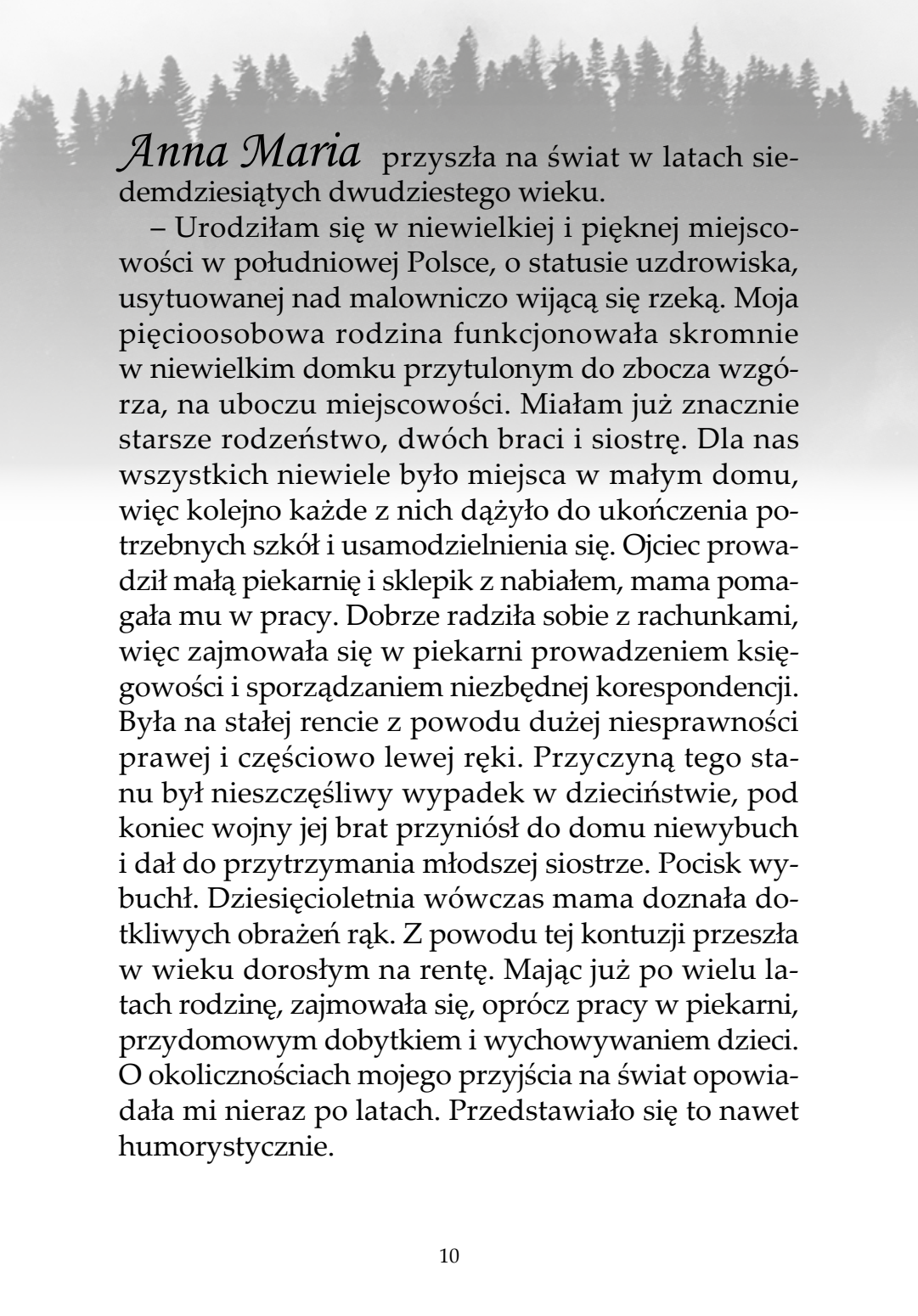
zrządzenie losu lub działanie wyższych sił, które doprowadzają do zaistnienia niezwykłych rezultatów.

Czy można mówić o przypadku w opisaney historii dwójki bohaterów, których życiowe okoliczności były tak bardzo odmienne? Pozorny zbieg wydarzeń doprowadził do spotkania w miejscu, gdzie realizowali swoje życiowe powołanie i obowiązki, a z czasem do połączenia ich losów w niewiarygodnie trudnych warunkach – bo należy pamiętać, że Anna była siostrą w zgromadzeniu zakonnym.

Czy faktycznie ich drogami pokierował przypadek, czy jakieś inteligentniejsze od nas istnienia? Czasem wydaje się, że decyzje podejmujemy sami lub ktoś wszystko z góry ustala, jednak decyzje te prowadzą do bardzo konkretnego celu, o którym możemy nie mieć nawet pojęcia.

Po wielu wspólnych rozmowach z Anną i Mirkiem i po uzyskaniu ich akceptacji podjęłam decyzję, że warto zapoznać Czytelników z tą historią od samego początku, w całości. Opowiadają ją oni sami – wiele lat później, prowadząc już wspólne życie wraz z trójką dzieci.

Autorka



Anna Maria przyszła na świat w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku.

– Urodziłam się w niewielkiej i pięknej miejscowości w południowej Polsce, o statusie uzdrowiska, usytuowanej nad malowniczo wijącą się rzeką. Moja pięcioosobowa rodzina funkcjonowała skromnie w niewielkim domku przytulonym do zbocza wzgórza, na uboczu miejscowości. Miałam już znacznie starsze rodzeństwo, dwóch braci i siostrę. Dla nas wszystkich niewiele było miejsca w małym domu, więc kolejno każde z nich dążyło do ukończenia potrzebnych szkół i usamodzielnienia się. Ojciec prowadził małą piekarnię i sklepik z nabiałem, mama pomagała mu w pracy. Dobrze radziła sobie z rachunkami, więc zajmowała się w piekarni prowadzeniem księgowości i sporządzaniem niezbędnej korespondencji. Była na stałej rencie z powodu dużej niesprawności prawej i częściowo lewej ręki. Przyczyną tego stanu był nieszczęśliwy wypadek w dzieciństwie, pod koniec wojny jej brat przyniósł do domu niewybuch i dał do przytrzymania młodszej siostrze. Pocisk wybuchł. Dziesięcioletnia wówczas mama doznała dotkliwych obrażeń rąk. Z powodu tej kontuzji przeszła w wieku dorosłym na rentę. Mając już po wielu latach rodzinę, zajmowała się, oprócz pracy w piekarni, przydomowym dobytkiem i wychowywaniem dzieci. O okolicznościach mojego przyjścia na świat opowiadała mi nieraz po latach. Przedstawiało się to nawet humorystycznie.

Mama, krzątając się po podwórku któregoś ciepłego sierpniowego dnia, usłyszała wesoły głos sąsiada z pobliskiego gospodarstwa:

– Witam, sąsiadko. Przyjemną mamy pogodę, sierpień całkiem ładny. Zauważyłem, że coś nasz bocian już dosyć długo krąży nad waszym domem – zakończył z przyjaznym uśmiechem.

– Jakby chciał co przynieść – odparła mama, odwzajemniając uśmiech, chociaż nie było jej tak całkiem do śmiechu.

Mama potwierdziła, że bocian rzeczywiście z upodobaniem krążył wtedy w pobliżu i nadlatywał nad nasz niewielki domek. Bociania rodzina gniazdowała od lat nad pobliskim potokiem. Młode prawie dorosły i zbierały siły do opuszczenia gniazda. A mama faktycznie od niedawna czuła się inaczej. Miała już trójkę dzieci, więc знаła to przeczucie. Mojemu tacie nic na razie nie wspominała, chociaż zaskoczył ją pewnego dnia komplementem:

– Coś ostatnio pięknie wyglądasz, jak różyczka.

– Oj, niedługo rozkwitnę. Zobaczysz, jaki będziesz zaskoczony – odparła mama niby zdawkowo, ale też nieco rozbawiona.

Mimo wszystko czuła się dziwnie, bo trójka dzieci była już duża, w wieku niemal od jedenastu do osiemnastu lat...

– *Ale co robić* – rozmyślała. – *Jak Bóg daje życie, to trzeba je przyjąć.*

Miesiące mijały na zwyczajowych zajęciach. Praca, dzieci, dom. Nadeszła wiosenna pora i czas moich narodzin, kolejnego członka rodziny. Kiedy tato

przyjechał do szpitala, okazało się, że urodziła się dziewczynka.

– No to mamy drugą córkę – zagadnął do mamy. – Jest ich teraz po równo, dwóch chłopaków i dwie dziewczyny. Katarzyna już duża, to się zajmie małą, jak będzie trzeba.

Kiedy wrócił do domu, oznajmił wyczekującej niecierpliwie trójce rodzeństwa, że mają siostrę.

– U mamy i małej wszystko w porządku – powiadomił spokojnie i zaraz dodał poważnym tonem. – To macie teraz bojowe zadanie. Zanim mama wróci ze szpitala, macie wymyślić dla siostry imię.

Mimo że moje rodzeństwo było już duże, wesoło i z zapałem zabrano się do wymyślania imienia, jak wynikało z ich późniejszych wspomnień. Opowiadali, ile mieli przy tym zabawy.

– Może damy Radosława, Radzia? – zaproponował rozbawiony najstarszy brat.

– Co ty, takie głupie? – odparowała siostra. – Ja chciałabym Zosię.

– A ja wolałbym Pelagia – zaproponował Wojtek.

Wszyscy wybuchli śmiechem na dźwięk imienia, które było znane z satyrycznych wówczas programów kabaretowego duetu, Bohdana Smolenia i Zenona Laskowika, gdzie pierwszy z nich komicznie odgrywał rolę Pelagii.

– A ja chcę Petronełę – ponownie zawołał wesoło najstarszy z rodzeństwa.

Pomysły się mnożyły i długo padały żartobliwe propozycje, a rodzeństwo świetnie się bawiło, wymyślając dla mnie kolejne imiona.

– Klaudyna, Bronia, Lilunia. O! Albo Agata.

– Tak, ta co nogą zamiata – zawołała rozbawiona Kasia.

I znowu śmiech i wymyślanie następnych, coraz zabawniejszych imion. Zaśmiewali się podobno do łez.

Wreszcie mama wróciła do domu z małą dziewczynką.

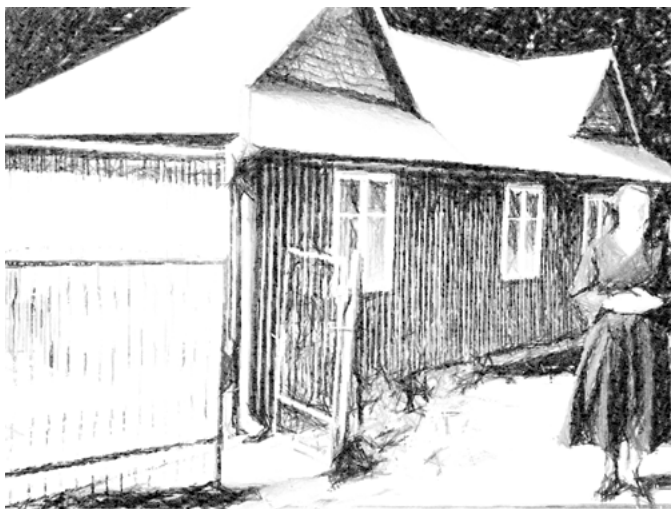
– No to mamy w domu Annę – oznajmił zdecydowanie tata. – Będzie miała na imię Anna Maria.


– No tak! – odezwała się rozczarowana Kasia – bo twoja ulubiona piosenka, to *Anna Maria Czerwonych Gitar*. To po co kazałeś nam wymyślać imiona?

– A po to, żebyście mieli zajęcie – odparł zadowolony ojciec.

– Przynajmniej mieliśmy dobrą zabawę – dodał ugodowo Wojtek. – Żebyście wiedzieli z mamą, jakie mieliśmy pomysły?

– To lepiej się stało, że ja wymyśliłem – podsumował wtedy tata.

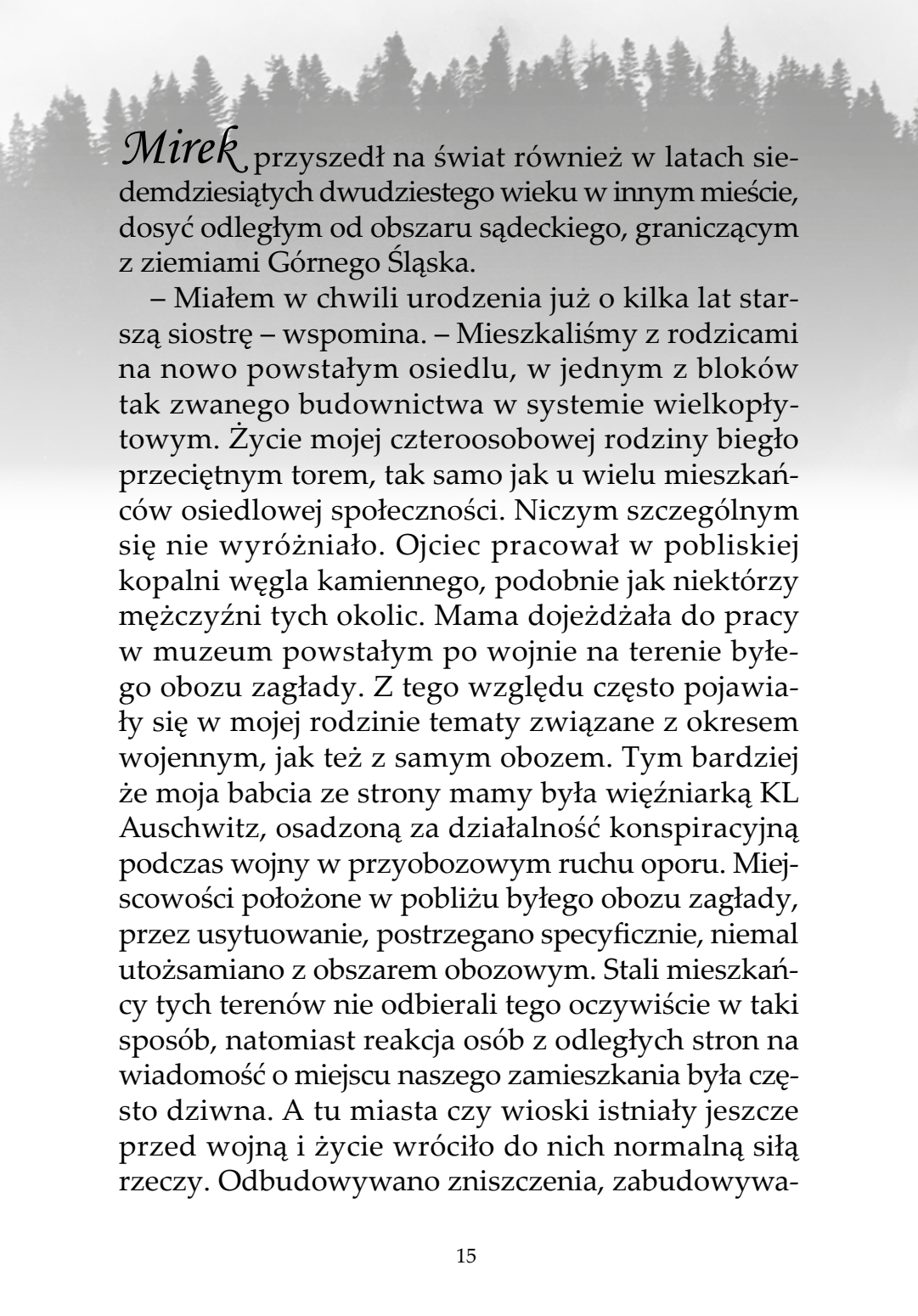




Anna wspomina dalej, bo pierwsza część imienia przyłgnęła do niej od małego dziecka:

– Ponieważ rodzice pracowali, obowiązek doглядania mnie malutkiej spadał w większości na moją starszą siostrę. A z opowiadań jej i rodzeństwa wiem, że podrastając, ujawniałam z czasem żywiołowy charakter. Poza tym siostra jeszcze się uczyła i jako nastolatka nie była zbyt zadowolona z zajmowania się małym dzieckiem. Chociaż wolała spędzać czas na swoich zajęciach czy z koleżankami, to musiała podporządkować się roli opiekunki.

Życie mojej rodziny toczyło się przeciętnym torem w niedużej, przygranicznej miejscowości Beskidu Sądeckiego. Obszary te zachwycają urokliwymi zakątkami, dużą ilością turystycznych szlaków, zdrowym powietrzem. Kulturowo zostały związane ze społecznością Czarnych Górali o pięknych tradycjach. Nazwa ich wywodziła się od noszonych zwyczajowo ciemnobrązowych lub czarnych męskich ubrań: spodni, narzuty, kamizelki i obszycia stroju, co odmieniało ich od Górali Podhalańskich. Ponadto pierwotnie prowadzona była na tamtejszych terenach swoista hodowla czarnych owiec, a w późniejszym czasie białych, z charakterystycznymi czarnymi łebkami. Kultura ludów tego regionu mieści się w obrębie tak zwanych Lachów Sądeckich. Natomiast nazwa Lachy to przyjęte tam wschodniosłowiańskie określenie Polaków.



Mirek przyszedł na świat również w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku w innym mieście, dosyć odległym od obszaru sądeckiego, graniczącym z ziemiami Górnego Śląska.

– Miałem w chwili urodzenia już o kilka lat starszą siostrę – wspomina. – Mieszkaliśmy z rodzicami na nowo powstałym osiedlu, w jednym z bloków tak zwanego budownictwa w systemie wielkopłytowym. Życie mojej czteroosobowej rodziny biegło przeciętnym torem, tak samo jak u wielu mieszkańców osiedlowej społeczności. Niczym szczególnym się nie wyróżniało. Ojciec pracował w pobliskiej kopalni węgla kamiennego, podobnie jak niektórzy mężczyźni tych okolic. Mama dojeżdżała do pracy w muzeum powstałym po wojnie na terenie byłego obozu zagłady. Z tego względu często pojawiały się w mojej rodzinie tematy związane z okresem wojennym, jak też z samym obozem. Tym bardziej że moja babcia ze strony mamy była więźniarką KL Auschwitz, osadzoną za działalność konspiracyjną podczas wojny w przyobozowym ruchu oporu. Miejscowości położone w pobliżu byłego obozu zagłady, przez usytuowanie, postrzegano specyficznie, niemal utożsamiano z obszarem obozowym. Stali mieszkańcy tych terenów nie odbierali tego oczywiście w taki sposób, natomiast reakcja osób z odległych stron na wiadomość o miejscu naszego zamieszkania była często dziwna. A tu miasta czy wioski istniały jeszcze przed wojną i życie wróciło do nich normalną siłą rzeczy. Odbudowywano zniszczenia, zabudowywa-

no nowe tereny. Okoliczne miejscowości w pobliżu powstałego muzeum rozrastały się o liczne osiedla.

Jak to zwykle bywało na osiedlu, dzieciaki w wolnym czasie bawiły się na placach zabaw, usytuowanych pomiędzy mieszkalnymi blokami. Były to miejsca skromnie wyposażone w piaskownicę i huśtawki, nawet długo nieogradzane. Chłopcy w większości grali w piłkę na trawnikach lub zielonych terenach poza blokami. Chętnie brałem w tym udział.

Mirek był spokojnym chłopcem, ale też wrażliwym. Dorastając, lubił się uczyć. Lubiał również muzykę, czytał dużo książek, przejawiał pewne zdolności artystyczne w kierunku rysunku. Miał pogodną osobowość.

